



ARTUR GRUSZECKI POD CZERWONYM WIRCHEM

32

— Na mnie ten eter nie działa, — zaśmiała się Dorcia, — bawię się doskonale i śpię jak susel.

— Właśnie ten głęboki sen dziecka, — uśmiechnął się, — przeszkadza pani w odczuwaniu tej atmosfery, ale gdyby pani czuwała, odczułaby pani działanie tych prądów, słyszałaby pani westchnienia, ciche prośby, ledwie pochwytne dźwięki, które razem wzięte tworzą podniecający nastrój.

— A pan to czuje? — spytała pani Wanda.

— Dlatego mówię, że odczuwam, i tu, w zakładzie, brak mi świeżego oddechu lasów, powiewu z gór, chłodu ze śnieżnych wirchów. Tęsknię za tą świeżością, ale nie tak znów silnie, ażebym tracił dobre dziś dla lepszego jutra.

Rozjaśniła się twarz pani Wandy, miała bowiem sposobność odwdzięczenia się Borowieckiemu chociaż tą drobną rzeczą i powiedziała z uśmiechem:

— Wprawdzie lepsze jest wrogiem dobrego, ale możemy oboje połączyć. Niech pan obmyśli wycieczkę i pojedziemy.

— Serdecznie dziękuję pani, — nachylił się i ucałował jej rękę, — dobre chęci pani uważam za dowód przyjaźni, — ucałował powtórnie rękę, którą trzymał w swojej, — już wiem!

— Więc gdzie? — spytała pani Wanda, zapominając usunąć swą rękę, — byle wycieczka jednodniowa.

— Naturalnie. Wie pani, nasz zakład w spisie willi posiada godło: „Pod Czerwonym Wirchem”... zrobimy więc wyprawę na Czerwone Wirchy.

— Daleka?

— Niebardzo. Przez Halę Kondratową będzie cztery godziny pieszo.

— O, to męcząca droga. Nie zna pan bliższej?

— Można z Doliny Kościeliskiej, ale trzeba się wspinać stromą drożyną. Jest też droga trochę dalsza, ale bardzo przyjemna, przez Dolinę Strążyską, Dolinę Małą, następnie po pod Mały Giewont.

— I wygodna droga?

— Część powozem, a część pieszo.

— To ślicznie! — zawołała Dorcia, — i zaraz jutro, póki pogoda.

— Jutro? — zawahała się pani Wanda, — ależ trzeba się przygotować.

— Pani pozwoli, że sam się tem zajmę, — oliarował się Borowiecki.

— Pod warunkiem, że koszta będą wspólne.

— Dobrze, proszę pani.

— Czy przewodnik także będzie? — przemówiła Dorcia.

— Znam drogę, sam poprowadzę.

— Jaka szkoda! — westchnęła Dorcia.

— Dlaczego?

— Dzieciństwo! — zaśmiała się wesoło, — pomyślałam, że to brzmi inaczej, gdy się powie: prowadził nas przewodnik taki a taki, to nadaje powagi.

— Czyż dla pani nie jestem dość poważny? — uśmiechnął się.

— Wcale nie! Pan zbyt uległy, pokorny i cichy, — mówiła żartobliwie, — nie ma pan energii i siły, któreby zmuszały do posłuszeństwa.

On, rozbawiony, spojrzał na panią Wandę wzrokiem, który mówił: taki jestem tylko dla pani. Ona, lekko zarumieniona, upomniała Dorcię:

— Nie wypada być tak złośliwą i w ten sposób tłómaczyć uprzejmość pana.

— To wcale nie jest złośliwość, — uśmiechnęła się, — niech pani sama powie, czy pan Borowiecki na którejkolwiek wycieczce zwrócił naszą uwagę na piękność otoczenia, na Tatry, na góry, na śpiewność lasów i potoków górskich? Ani jednego razu, cały pochłonięty... ażeby nam było wygodnie. Czy nie tak?

— Panno Dorciu, — śmiał się szczerze, — to to właśnie największa zaleta przewodnika, owa dbałość o wygodę turystów.

— Pan sobie żartuje, ale wie doskonale, o czym ja mówię.

— A więc żąda pani przewodnika?

— Wcale nie, i pan byłby doskonałym przewodnikiem, tylko trzeba się poprawić.

— Poprawię się; a pani, — spojrzał na panią Wandę, — podzieli zapatrywanie panny Dorci?

— Dla mnie, — uśmiechnęła się przyjemnie, — jest pan doskonałym przewodnikiem, panu zawdzięczam, że czuję się zdrowszą.

— Za wiele zaszczytu dla mnie; siły były, siły wróciły, nawet ich niafka nie byłam.

— Skromność zbyt, my oboje wiemy, jak to było; zawsze będę wdzięczna panu i tego tylko żałuję, że nie wiem, jak odplacić panu jego dobroć, — kończyła miękko, serdecznym głosem.

On objął ją całą płomiennymi oczyma, a usta jego zdawały się szeptać: moja bądź! moja!

Zarumieniała się cała pod tym wzrokiem, spuściła oczy i rzekła tonem uprzejmym:

— Zatem jutro na „Czerwone Wirchy”, a ty, Dorciu, musisz się pogodzić z takim przewodnikiem, — uśmiechnęła się do niej.

— Jeśli o lepszego dla pani trudno, — zaśmiała się swobodnie, — chętnie pogodzę się z panem.

— Przyrzekam poprawę.

— Wilka na pokucie, — zaśmiała się.

— Przekonam panią, — a widząc, że pani Wanda spojrzała na zegarek, rzekł z westchnieniem: — jak ten czas leci, już po dziesiątej, — wstał i pożegnał Dorcię, a gdy całował rękę pani Wandy, odczuł jej chłód ceremonialny i skwapliwość w usunięciu swej ręki.

Ten rodzaj pożegnania dotknął go przykro, wszak przed chwilą mówiła tak gorąco o swej wdzięczności.

Gdy wrócił do siebie, rozmyślał jak zwykle o pani Wandzie. Ogarnęła go niecierpliwość aniżeli kiedykolwiek chęć wyjaśnienia i zakończenia tego niewyraźnego stosunku. Nie jest przecież studentem, ażeby wiecznie wdychać i przewracać oczy. Jeszcze póki była chora, zdenerwowana, obawiająca się każdego silniejszego wrażenia, było rzeczą potrzebną a nawet konieczną ulegać jej fantazjom i żądaniom, ale to raz musi się skończyć. Słusznie mówiła dziś Dorcia, że on jest za pokorny i nie ma siły i energii, ale wszystko ma swój kres. Romansować z nią pokątnie, dzielić z mężem jej czułości, jest niemożliwe! Przeszły go dreszcze zazdrości na myśl, aby ona, kochając go, miała ulegać z konieczności drugiemu. Nie widział i nie rozumiał innej drogi, jak tylko: albo on jeden jedyny, albo ustąpić. Żadnych kompromisów! Żadnych ustępstw!

I jutro to jej powie, dosyć tych zwłok! Zgo-

dzi się z nim, zerwie z mężem, to on, Borowiecki, całe życie poświęci, ażeby ona była szczęśliwa; a jeśli odmówi, wyjedzie w świat!

Pani Wanda, zaledwie za nim drzwi się zamknęły, miała ochotę przywołać go i pożegnać serdeczniej. Widziała w jego oczach, że chłód jej zrobił mu przykrość. Ale wstrzymała się i otwierając szeroko drzwi balkonowe powiedziała:

— Trzeba wpuścić świeżego powietrza, tu duszno, — i patrząc na gwiazdziste niebo, dodała: — Dorciu, zobacz jak ładnie.

Przez chwilę Dorcia patrzyła i rzekła dość obojętnie:

— Prawda, ślicznie gwiazdy świecą.

— Lubię takie noce... a ty, Dorciu, senna?

— Wcale nie... i dlaczego pani go wyprawiła?

— Nie wypada, i taki przepis zakładu.

— Dla sal ogólnych, ale nie dla prywatnych pokoi i on zęgnął się z takim żalem.

— Nie sądzę, dość mu nadokuczałaś.

— Ja? Nic a nic.

— A o tym braku energii, siły...

— To żadne dokuczanie, to prawda. Proszę pani, on od kilku miesięcy chodzi, wdycha, patrzy w oczy, zakochany jak kot, — śmiała się, — i nic... nawet się nie oświadczył pani.

— Skąd wiesz? — uśmiechnęła się.

— O, wiem dobrze! Po oświadczeniu byłaby dla was natrętnym świadkiem, a teraz chętnie mnie znosicie.

— Dzieciak jesteś i tylko romanse ci w głowie, — uśmiechnęła się przyjaźnie, — on mnie wcale nie kocha, wie przecie, że mam męża i dziecko, jest moim przyjacielem i nic więcej, — a swoją drogą pragnęła zaprzeczenia.

— On nie jest zakochany!? — klasnęła w ręce, — a wiecie moi państwo, świat się kończy! On poza panią nikogo nie widzi, nie słyszy, nie rozmawia z nikim. Wpatrzony jak w obraz święty, i jeszcze nie jest zakochany!? Jak może pani tak mówić!?

— No, przypuśćmy, że mnie lubi, to i cóż z tego? Właśnie to w nim cenię, że, wiedząc iż jestem mężatką, nie mówi nic o sobie i swych uczuciach.

— Proszę pani, czy mówi się tylko słowami?... A dziś, gdy pani mówiła o wdzięczności, oczy jarzyły mu się jak świece i omal nie zjadł pani.

— Dorciu, co ty wygadujesz?

— Prawdę, sama widziałam, jak mamę kocham.

— Zdawało ci się... no, chodźmy spać, — zamykała drzwi balkonowe.

Przy rozbieraniu się omawiały, jakie suknie wziąć na jutrzejszą wycieczkę, a gdy Dorcia się ułożyła, spytała niespodziewanie:

— Proszę pani, i co z tego będzie?

— Z czego?

— A z tej miłości pana Borowieckiego?

— Cóż ma być?... Nic!

— Jakto nic? — i zdziwiona, aż usiadła na łóżku, — no, to dziwne, bardzo dziwne, — znów się ułożyła.

— Cóż w tem dziwnego? — spytała pani Wanda, trochę niepewnie.

— A nic!

— Jakto nic?... Mówże Dorciu... proszę cię, powiedz szczerze...

— Dziwi mnie, że pani pozwala panu Boro-